

Wspomnienie o Majorze

Anna Sas-Jaworska

Zachęcona przeczytanym przed chwilą listem Andrzeja Osadzińskiego do Redaktora „Konia Polskiego” piszę parę moich prywatnych wspomnień o człowieku znanym w szerokich kręgach kawalerzystów, koniarzy i ludzi związanych z końmi — o mjr. Marianie Fabrycy.

Opiszę mały epizod dotyczący osoby tego zasłużonego jeźdźcy, organizatora wielu wspaniałych pułkowych biegów myśliwskich, o których czytałam w „Jeźdźcu i Hodowcy” z lat dawnych.

Major Fabrycy niezrażony wieloma trudnymi dniami, które były jego udziałem, znów dosiadł konia. Uznano „niech sobie jeździ — przecież nikomu nie przeszkadza” — ’i’ zaczął jeździć.

Były to lata 50-te. Zorganizował sekcję jeździecką, miał zapaloną młodzież; żadnej pomocy, żadnej dotacji (stare buty z cholewami zdobywał i reperował na własny koszt).

Zapałem i wytrwałością zarażał młodzież.

Wrywał się z domu, gdzie miał wiele obowiązków i rowerem dojeżdżał na treningi do stadniny. Bez względu na porę roku i pogodę trenował chętnych — pracował społecznie — szkolił i wychowywał młodzież. Zapłatą za to była osobista satysfakcja.

Pokonywał uparcie wszystkie trudności, przeżywał każdy transport wielu świetnie zapowiadających się koni na rzeź. Raz przez zupełny przypadek uratował chudą klacz, która jadąc do Chronówka (baza koni rzeźnych) pokaleczyła się, a ponieważ i kondycji była kiepskiej (po treningu na wyścigach) więc wróciła do macierzystej stadniny. Gdy s:ę już wylizła i poprawiła, Pan Major zobaczył ją brykającą po paddocku. Wówczas włożył na nią siodło, a po próbnej jeździe wróżył jej dobrą przyszłość, mimo iż na torze biegła kiepsko. Ułożyło się wszystko pomyślnie i mała niepozorna klaczka z białą skarpetką na prawej nodze nie pojechała już do Chronówka. W parę lat potem w Akwizgranie i Olsztynie wielotysięczne tłumy skandowały Via Vitae — bo o nią to właśnie chodzi.

Uroczy major Fabrycy był postacią, której się nie zapomina. Z wielkim zadowoleniem i wzruszeniem przyjął wiadomość, że władze odrzuciły atrakcyjną ofertę dewizową i klacz zostanie w Polsce. Odpłaciła za to potem wielokrotnie, przynosząc sławę polskiemu jeździectwu. Pan Major prowadził trening w wojskowym drylu — rugał, krzyczał d... w siodle! — jak siedzisz łamago?! itp., itd., ale zaraz potem przeproszał obecne panie, „rozprężył się” i z groźnego trenera, zmieniał się w uroczonego, szarmanckiego i ujmującego człowieka ze starej, ale dobrej szkoły.

Często takiej specjalnie zruganej adeptce przywoził kwiatki z własnego ogródka, który był drugą pasją Majora, przeproszał, lecz z chwilą rozpoczęcia treningu wszystko zaczynało się od początku, i znowu kwiatki, itp., itd.

Młodzież bardzo lubiła Pana Majora. Pamiętam plenery studentów SP z Warszawy i mocne więzy przyjaźni utrzymywane później przez lata.

Zbliżał się dzień św. Huberta. A ponieważ z tymi tradycjami bywało różnie, zatem Major zarządził, że



Mjr Marian Fabrycy.
Fot. Narcyz Witczak-Witaczyński

wszyscy lepiej jeżdżący jadą jutro dłuższą trasą, by w ten sposób uczcić Patrona jeździectwa. Opowiadał nam wtedy ciekawie jak to było dawniej, gdy organizował Huberta w pułku.

Nasłuchawszy się tych opowieści, a zawsze ciągnie mnie do tradycji, postanowiłam coś tu zadziałać.

Zbadawszy moje finansowe możliwości, szybko zrobiłam zakupy, w spiżarni były dobre marynowane grzybki. Postanowiłam Panu Majorowi zrobić niespodziankę.

Umówiliśmy się z p. Koniuszym, że pojedziemy do lasu i w pięknym miejscu, obok gościńca królewskiego zrobimy ognisko z tradycyjnym kieliszkiem, kiełbasą i grzybkami, wszystko w sekrecie przed Majorem. Był rudy lisek wypchany jak żywy, z przeznaczeniem na kołnierza po biegu — miał podnieść atrakcyjność naszego spotkania. Jadąca w grupie jeźdźców praktykantka p. B. Wirkijowska, umówiona ze mną wiedziała gdzie czekamy. Miała poprowadzić p. Majora — o ja naiwna! — Gdy p. Basia odezwała się proponując jazdę traktem królewskim, posłyszała „Milczeć — ja prowadzę”.

Biedna dziewczyna znowu „zebrała się w sobie” i po raz drugi odezwała, ale pan Major znowu ją ofuknął.

Sytuacja stawała się coraz trudniejsza, bo zmrok zapadał, konie były zmęczone a kierunek nie ten. Grupa czekająca w lesie zmarznięta i zaniepokojona przykładła ucho do ziemi oczekując jeźdźców i koni.

I gdyby nie dzielna pani Basia, która prawie z płaczem wykrztusiła „tam czeka pani Hanka!” pewno byśmy się nie zobaczyli tego dnia.

Usłyszawszy to p. Major krzyknął „Za mną!” i pomknął co koń wyskoczy w kierunku traktu.

Radość nasza była ogromna, gdy ujrzelśmy pędzącą kawalkadę. Pierwszy wpadł p. Major osadził konia w miejscu i rugnął organizatorkę „Co za pomysł utrzymywać w tajemnicy przede mną! — ja prowadzę!” itd...

Łzy zakręciły mi się w oczach, marynowane grzybki na wykałaczkach rozhustały się w drżących rękach i wróciły tam gdzie rosły.

To trwało chwilę, bo Major był gwałtowny i groźny, ale z gołęmbim sercem i prawym charakterem.

Wszystko skończyło się b. miło. Major przeproszał, ja się rozchmurzyłam, osłupieni jeźdźcy i goście odzyskali głos. Grzybki pozbieraliśmy znowu i w uroczym nastroju na parujących koniach wróciliśmy do stadniny. Tego Huberta nie zapomnę nigdy, a było ich od tego czasu wiele.

Następnego dnia dostałam piękne nasturcje, które dostawałam potem przez długie lata, aż do ostatnich chwil życia Pana Majora. Pan Major zmarł w sierpniu 1973 r. w Kozienicach. Szliśmy tłumnie na miejscowy cmentarz. Za trumną i najbliższą rodziną szła pod siodłem przykrytym czarnym całunem Via Vitae, która właśnie Majorowi Fabrycemu nieświadoma zawdzięcza długie życie.

Często łapię się na tym, że przecież mam nasturcję w ogródku. Taka okazja do rewanżu. Cmentarz tak niedaleko — ale tempo życia jest takie, że ani rusz czasu na zbieranie nasturcji wygospodarować nie mogę.

A Pan Major zawsze znajdował czas dla wszystkich i na wszystko.